



MARC LEVY

Jak
&
niebie

1

Lato 1996

Zadzwonił mały budzik stojący na nocnym stoliku z jasnego drewna. Było wpół do szóstej i cały pokój zalewało światło, jakie o świetle urzeć można tylko w San Francisco.

Dom pogrążony był we śnie. Suka Kali leżała na wielkim dywanie, Lauren otulona kołdrą na szerokim łożu.

Każdy, kto znalazł się w mieszkaniu Lauren, zauważał jego przyjazną, ciepłą atmosferę. Usytuowane na najwyższym piętrze wiktoriańskiej kamienicy przy Green Street, składało się z typowo amerykańskiej kuchni-salonu, garderoby, dużej sypialni i przestronnej łazienki z oknem. Pokoje wyłożono bukową klepką, podłogę w łazience pomalowano na biało i starannie podzielono czarną farbą na kwadraty. Na białych ścianach wisiały stare sztychy, wyszperane u bukinistów przy Union Square, sufit zaś zdobił drewniany gzyms, rzeźbiarskie dzieło utalentowanego ebenisty z początków stulecia, pokryty przez Lauren farbą w kolorze jasnego karmelu.

Beżowe dywaniki z kojry i juty wytyczały obszar salonu, jadalni i kącika przy kominku. Kremowa, obita miękką tkaniną kanapa kusiła wygodą tego, kto chciałby sięść na wprost kominka. Na niedużych stolikach i szafkach stały piękne lampy z plisowanymi abażurami. Każdą z nich

Lauren kupowała oddzielnie, już od trzech lat troszcząc się o wystrój mieszkania.

. . .

To była krótka noc. Lauren pracowała jako lekarz w San Francisco Memorial Hospital, a jej wczorajszy dyżur przeciągnął się znacznie ponad dwadzieścia cztery godziny, w ostatniej bowiem chwili zaczęto przywozić ofiary groźnego pożaru. Pierwsze karetki zatrzymały się przed izbą przyjęć dziesięć minut przed końcem zmiany i Lauren niezwłocznie przystąpiła do selekcji rannych, kierując ich do odpowiednich gabinetów. Koledzy z podziwem przypatrywali się jej, gdy z mistrzowską wprawą, poświęcając każdemu z pacjentów kilka minut, osłuchiwała go, opatrywała etykietą, której kolor określał stan obrażeń, stawiała wstępną diagnozę, zlecała najpilniejsze badania i wskazywała sanitariuszom właściwą salę. Selekcja szesnastu osób, przywiezionych do szpitala w ciągu kwadransa po północy, dobiegła końca o wpół do pierwszej i już po piętnastu minutach pilnie wezwani chirurdzy mogli rozpocząć serię operacji tej trudnej nocy.

Lauren asystowała doktorowi Fernsteinowi przy dwóch zabiegach i wyszła do domu dopiero na wyraźne polecenie szefa, który przypominał jej, że zmęczenie ogranicza sprawność, a zatem może stanowić zagrożenie dla zdrowia pacjentów.

W środku nocy opuściła szpitalny parking za kierownicą swojego triumpfa i z dużą prędkością pokonywała opustoszałe ulice. Jestem potwornie zmęczona i jadę zbyt szybko, powtarzała sobie raz po raz, walcząc z sennością, jednak na samą myśl, że mogłaby nieoczekiwanie wrócić do szpitala, i to nie w roli lekarza, ale pacjenta, natychmiast się ocknęła.

Otworzyła pilotem drzwi garażu i zaparkowała stary samochód. Podziemnym przejściem dotarła do głównych

schodów i przeskakując po dwa stopnie, znalazła się wreszcie w domu.

Stojący na kominku zegar wskazywał wpół do trzeciej. Lauren zrzuciła ubranie na środku pokoju. Zupełnie naga podeszła do barku, żeby przygotować herbatę. Ustawione na półce słoje kryły wszelkie jej gatunki, jakby każdej porze dnia odpowiadał ten jeden, najwłaściwszy aromat napoju. Postawiła filiżankę na stoliku nocnym, wśliznęła się pod kołdrę i zasnęła, zanim dotknęła poduszki głową. Miniony dzień był o wiele za długi, nadchodzący wymagał wczesnego przebudzenia. Wykorzystując dwa wolne dni, które – co się rzadko zdarzało – wypadły w weekend, przyjęła zaproszenie przyjaciół z Carmelu. I choć zmęczenie w pełni usprawiedliwiałoby dłuższe wylegiwanie się, Lauren za nic nie chciała opóźniać wyjazdu. Uwielbiała oglądać wschody słońca nad drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża Pacyfiku i łączącą San Francisco z zatoką Monterey. Zaspana, po omacku szukała guzika wyłączającego budzik. Przetarła dłonią oczy i zwróciła się do leżącej na dywanie Kali.

– Nie patrz na mnie, jakbyś zobaczyła kosmitkę.

Na dźwięk jej głosu suka przybiegła i złożyła łeb na brzuchu swej pani.

– Zostawiam cię na dwa dni, maleńka. Mama wpadnie po ciebie koło jedenastej. Puść mnie, muszę wstać i nakarmić cię.

Lauren rozprostowała nogi, przeciągle ziewnęła i wyskoczyła z łóżka.

Przeczesała palcami włosy, obeszła blat kuchenny, zaparzyła kawę, otworzyła lodówkę i ciągle ziewając, wyjęła z niej masło, konfiturę, tosty, konserwę dla psa, resztkę szynki parmeńskiej, kawałek goudy, dwie buteleczki mleka, przecier jabłkowy, dwa jogurty, płatki zbożowe i pół grejpfruta. Drugą połowę zostawiła na dolnej półce. Kali obserwowала ją, przekrzywiając łeb, aż Lauren popatrzyła na nią srogo i krzyknęła:

– Konam z głodu!

I jak zwykle sięgnęła po ciężką, kamionkową miskę, by najpierw przygotować posiłek dla pupilki.

Potem naszykowała sobie śniadanie i usiadła przy biurku. Stąd, lekko odwróciwszy głowę, mogła podziwiać Saussalito z wtulonymi w zbocza domami, Golden Gate niczym dłonie związane w uścisku ponad zatoką, port rybacki Tiburon, a w dole dachy schodzących ku Marinie domów. Otworzyła okno; w mieście panowała niezmacona cisza. Tylko syreny frachtowców wypływających do Chin i krzyki mew wskazywały, że budzi się dzień. Lauren przeciągnęła się i z wielkim apetytem zaczęła zjadać gargantuiczne śniadanie. Wczoraj zabrakło jej czasu na kolację. Trzykrotnie sięgała po kanapkę, ale za każdym razem pager brzęczeniem odrywał ją od tej jakże prywatnej sprawy, wzywając do pacjentów. Kiedy ktoś pytał ją o zawód, nieodmiennie odpowiadała: Zaganianna. Zakończywszy poranną ucztę, odstawiła tacę do zlewu i poszła do łazienki. Opuściła drewniane żaluzje, zdjęła białą sięgającą kostek bawełnianą koszulę i weszła pod prysznic. Silny strumień letniej wody całkowicie ją rozbudził.

Wychodząc z kabiny, owinęła się ręcznikiem w talii. Z obnażonymi piersiami i nogami stanęła przed lustrem i skrzywiła się. Postanowiła poprzestać na lekkim makijażu, włożyła džinsy i sweter, po chwili zdjęła džinsy i sięgnęła po spódnice, ale w końcu zdecydowała się na džinsy. Wyjęła z szafy płócienną torbę, wrzuciła do niej kilka ciuchów i kosmetyczkę. Tak przygotowana do weekendowej wyprawy, rozejrzała się po mieszkaniu i z przerażeniem stwierdziła, że zostawia potworny bałagan. Zewsząd straszyły rzucone byle gdzie ubrania, wałające się po podłodze ręczniki, naczynia piętrzące się w zlewie, nieposłane łóżko. Zlekceważywszy sytuację, oznajmiła pełnym głosem wszystkim tym rzeczom:

– Nie pyskować mi tu, jutro wrócę troszkę wcześniej i zrobię z wami porządek!

Potem sięgnęła po ołówek i kartkę i napisała liścik, który następnie umocowała na drzwiach lodówki dużym magnesem w kształcie żaby:

Mamo!

*Dziękuję, że zechciałaś zaopiekować się psem, błagam,
nie sprzątaj. Zrobię to po powrocie.*

Wpadnę do Ciebie po Kali w niedzielę koło 17.00.

Całuję Cię.

Twoja ulubiona Lekarka

Włożyła kurtkę, czule podrapała suczkę za uchem, ucałowała ją w czoło i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Zbiegła po schodach, opuściwszy budynek, dotarła do garażu i zręcznie wskoczyła do starego wehikułu.

– Wyjechałam, nareszcie wyjechałam – szeptała. – Nie mogę w to uwierzyć, to istny cud. Obyś tylko nie zawiódł, samochodziku. Nie dokuczaj mi, nie kaszl, nie kichaj, bo należę ci syropu do silnika, a potem oddam na złom, i kupię sobie śliczny, nowiutki samochód, nafaszerowane elektroniką cudencko bez rozruszników i kaprysów przy lada chłodzie! Jasne? Zapalaj!

Stary anglik wziął sobie chyba do serca ostre słowa pani, bo silnik od razu zaskoczył. Zapowiadał się piękny dzień.

2

Lauren ruszyła powoli, żeby nie obudzić sąsiadów. Green Street to urocza ulica drzew i niewysokich domów. Jej mieszkańcy znają się jak ludzie w małych miasteczkach. Przy szóstym skrzyżowaniu przed Van Ness, jedną z dwóch wielkich arterii miasta, dodała gazu. Białe światło, którego barwa zmieniała się z minuty na minutę, stopniowo odkrywało piękno i potęgę miasta. Samochód z dużą prędkością mknął po opustoszałych ulicach. Na zboczach San Francisco, jak chyba nigdzie indziej, można doznać zawrotu głowy.

Lauren pokonała ostry zakręt w Sutter Street. Piskowi opon wtórowało rytmiczne tykanie kierunkowskazu. O szóstej trzydzieści mknęła stromym zjazdem do Union Square ogłuszona muzyką z odtwarzacza samochodowego. Dawno nie czuła się tak szczęśliwa. Zapomniała o stresie, o szpitalu i obowiązkach. Ten weekend miała wyłącznie dla siebie, nie chciała tracić ani minuty. Na Union Square panował spokój. Za kilka godzin ulice zaroją się od turystów i mieszkańców, robiących zakupy w sklepach wokół placu. Ruszą cable-cars*, wzrok zaczną przyciągać oświetlone wystawy, sznur samochodów ustawi się przed wjazdem na główny parking, gdzie uliczni grajkowie będą śpiewać i grać, zbierając rzucane przez przechodniów centy i dolary.

* Tramwaje kursujące w San Francisco.

Ale na razie, wczesnym rankiem, panuje tu cisza i spokój. Witryny są ciemne, na ławkach śpią kloszardzi. W budce na parkingu drzemie strażnik. Triumph połyka asfalt, posłuszny dźwięni biegów. Widząc zielone światło, Lauren redukuje biegi i wrzuca dwójkę, szykując się do wejścia w zakręt w Polk Street, jedną z czterech ulic otaczających plac. Lekko oszołomiona, z włosami przewiazanymi cienkim szalem, bierze wiraż przed ogromną fasadą budynku Macy'sa. Samochód zatacza idealny łuk, opony z lekka popiskują, potem rozlega się dziwny dźwięk, jakby ciąg zgrzytów i stukotów, które mieszają się, płaczą i kłocą.

I nagle ten łoskot! Czas zastyga. Milknie dialog kierunkowskazów i kół, łączność została zerwana. Samochód wypada z toru, ślizga się po mokrej jeszcze jezdni. Grymas wykrzywia twarz Lauren. Ręce zaciskają się na kierownicy, która bezwolnie kręci się i obraca bez końca w próżni, przekreślając plany na budzący się dzień. Triumph sunie po ulicy, wytracony ze zwykłego rytmu, czas dłuży się nagle jak w przeciągłym ziewnięciu. Świat wiruje wokół niej, wiruje w zawrotnym tempie. Samochód zachowuje się jak bąk wprawiony w ruch przez dziecko. Nagle koła odbijają się od krawężnika, przód unosi się i uderza w hydrant. Maską szybuje w górę, a samochód obraca się i resztką sił wyrzuca siedzącą za kierownicą dziewczynę, zbyt ciężką dla maszyny kręcącej sprzeczne z prawami grawitacji pikuety. Lauren przelatuje kilka metrów i opada, uderzając w fasadę sklepu. Ogromna witryna rozpryskuje się na tysiące kryształków, które zaścielają chodnik. Dziewczyna toczy się po szklanym dywanie, w końcu nieruchomieje pośród odłamków i tylko jej rozrzucone bezładnie włosy unosi lekki podmuch wiatru, podczas gdy stary triumph kończy tę podróż i długi żywot, leżąc na dachu, oparty jedną połową o chodnik. Odrobina dymu unosi się ponad trzewia wozu, jakby biedak wydał ostatnie tchnienie, jakby pozwolił sobie na ostatni kaprys.

Lauren nie porusza się. Spokojnie odpoczywa. Żaden grymas nie wykrzywia jej twarzy, dziewczyna oddycha powoli i regularnie. Lekko rozchylone wargi ułożyły się w ledwie dostrzegalny uśmiech, oczy są zamknięte. Można by pomyśleć, że śpi. Długie włosy okalają jej twarz, a prawa ręka leży na brzuchu.

Strażnik siedzący w budce przeciera oczy – widział wszystko jak w kinie, ale to była rzeczywistość, jak później powiedział. Wstaje, wybiega na zewnątrz, lecz nagle zawraca. Podnosi słuchawkę i gorączkowo wykręca numer. Wzywa pogotowie i karetka rusza w drogę.

. . .

Stołówka San Francisco Hospital to duże pomieszczenie z posadzką z białej terakoty i pomalowanymi na żółto ścianami. Kwadratowe stoliki z laminowanymi blatami ciągną się szeregiem od drzwi do dystrybutorów żywności i napojów. Doktor Philip Stern drzemał, wyciągnąwszy się na jednym z tych stołów. W ręku trzymał filiżankę kawy, która już dawno wystygła. Nieco dalej jego kolega bujał się na krześle i wpatrywał w pustkę. W kieszeni Sterna rozdzwonił się pager. Lekarz otworzył oko i zerknąwszy na zegarek, mruknął coś pod nosem. Za kwadrans jego dyżur dobiegał końca.

– Nie do wiary! Zawsze mam pecha! Frank, zadzwoń do centrali!

Frank sięgnął po słuchawkę wiszącego nad jego głową telefonu i wysłuchał informacji, potem odłożył słuchawkę i zwrócił się do Sterna.

– Wstawaj, stary, to do nas, Union Square, kod 3, podobno to coś poważnego...

Obaj lekarze pracujący w pogotowiu miejskim podnieśli się i ruszyli w kierunku garażu, gdzie czekała już karetka z uruchomionym silnikiem i migającym światłem alarmowym. Dwa krótkie dźwięki syreny zasygnalizowały wyjazd

jednostki 02. Była za kwadrans siódma, ruch na Market Street jeszcze się nie zaczął, toteż ambulans szybko mknął do celu.

– Cholera, w dodatku zapowiada się piękny dzień!

– Przestań zrzedzić!

– Padam ze zmęczenia. Prześpię cały dzień i nie wytknę nosa z domu.

– Skręć w lewo, pojedziemy pod prąd.

Frank posłuchał tej rady i karetka przez Polk Street dotarła do Union Square.

– Dodaj gazu, widzę ich.

Obaj lekarze zobaczyli najpierw zawieszony na hydrancie wrak starego triumpha. Frank wyłączył syrenę.

– Do diabła, nieźle trafił – stwierdził Stern, wyskakując z wozu.

Na miejscu wypadku byli już dwaj policjanci i jeden z nich wskazał Philipowi rozbitą witrynę.

– Gdzie ranny? – lekarz zwrócił się z tym pytaniem do policjanta.

– Tam, przed panem. To kobieta. Jest lekarką i podobno pracuje w pogotowiu. Może pan ją zna?

Stern klęczał już przy Lauren i głośno przywoływał kolegę. W rękę trzymał nożyczki, którymi zdążył już rozciąć dzinsy i sweter, by odsłonić ciało. Na lewej nodze widoczna była deformacja, a wokół niej rozległy krwiak, co wskazywało na złamanie. Innych dostrzegalnych obrażeń nie stwierdził.

– Przygotuj kroplówkę i elektrokardiograf. Tętno nitkowane, ciśnienie gwałtownie spada, czterdzieści osiem oddechów, uraz głowy, złamanie kości udowej prawej nogi z dużym ubytkiem krwi. Przygotuj szyny. Znasz ją? Pracuje u nas?

– Widywałem ją, to lekarka z izby przyjęć, od Fernsteina. Jedyna, która potrafi mu się przeciwstawić.

Philip zignorował tę ostatnią uwagę. Frank tymczasem umocował siedem elektrod na klatce piersiowej kobiety

i różnokolorowymi przewodami połączył je z przenośnym elektrokardiografem. Potem włączył urządzenie. Ekran natychmiast rozbłysł.

– Co tam masz? – zapytał kolegę.

– Nic dobrego, tracimy ją. Ciśnienie osiemdziesiąt na sześćdziesiąt, tętno sto czterdzieści, wargi sine. Przygotuję rurkę intubacyjną, siódmkę. Musimy intubować.

Doktor Stern założył wenflon, podłączył kroplówkę i i podał butelkę z płynem fizjologicznym policjantowi.

– Proszę trzymać to w górze, muszę mieć wolne ręce.

I niemal w tej samej chwili zwrócił się do kolegi, polecając mu podać rannej miligram adrenaliny oraz sto dwadzieścia pięć miligramów solu-medrolu i przygotować defibrylator. W tym momencie zauważył gwałtowny spadek temperatury ciała. Wykres EKG stał się nieregularny. Na dole zielonego ekranu zaczęło pulsować czerwone serce, raz po raz rozlegał się krótki sygnał alarmowy, informujący o groźbie migotania komór.

– Trzymaj się, mała! Musi mieć silny krwotok wewnętrzny. Co z brzuchem?

– Miękkki. To pewnie udo. Gotów do intubacji?

W niespełna minutę wprowadzili rurkę do krtani i podłączyli ranną do respiratora. Stern poprosił o bilans danych. Frank poinformował go, że oddech jest regularny, ciśnienie spadło do pięćdziesięciu. Zanim skończył zdanie, krótkie dźwięki zmieniły się w przejmujący gwizd aparatu.

– Migotanie! Nastaw na trzysta dzuli.

Philip potarł o siebie elektrody defibrylatora.

– Gotowe, możesz zaczynać! – krzyknął Frank.

– Odsunąć się!

Impuls elektryczny wstrząsnął ciałem, które wygięło się w łuk i po chwili opadło.

– Mało!

– Daj trzysta sześćdziesiąt, powtarzamy.

– Jest trzysta sześćdziesiąt, możesz zaczynać.

– Odsunąć się!

Ciało znów się wyprężyło i bezwładnie opadło.

– Daj jeszcze miligram adrenaliny i ładuj trzysta sześćdziesiąt. Odsunąć się! – Kolejny wstrząs poderwał ciało z miejsca. – Ciągłe migotanie! Tracimy ją. Daj jednostkę lidokainy i naładuj. Odsunąć się! – Ciało znowu się uniosło. – Pięć miligramów bretylium i natychmiast ładuj trzysta osiemdziesiąt!

Po kolejnym wstrząsie wydawało się, że serce Lauren zaczyna reagować na zaaplikowane środki i odzyskuje prawidłowy rytm, ale trwało to zaledwie chwilę. Gwizd, który ustał na kilka sekund, rozległ się ponownie...

– Zatrzymanie akcji serca – stwierdził Frank.

Philip bez chwili namysłu przystąpił do masażu serca. Działał z niezwykłym uporem i zaangażowaniem. Próbuje przywrócić pacjentkę do życia, szeptał błagalnie: Nie bądź głupia, dzisiaj jest tak pięknie, wróć, nie rób nam tego. Potem kazał koledze jeszcze raz przygotować defibrylator. Frank usiłował przemówić mu do rozsądku:

– Philipie, daj spokój, to na nic.

Ale Stern nie dawał za wygraną; wrzasnął, kazał Frankowi naładować aparat. Frank ustąpił. Jeszcze raz polecił odsunąć się od dziewczyny. Jej ciało wyprężyło się, ale zapis EKG pozostał płaski. Philip podjął masaż serca, pot zrosił mu czoło. Zmęczenie potęgowało desperację młodego lekarza, który musiał stawić czoło własnej bezsilności. Frank zdawał sobie sprawę, że jego kolega nie jest w stanie działać zgodnie z nakazami logiki. Już kilka minut temu powinien był przerwać daremną reanimację i podać godzinę zgonu, ale nie zrobił tego, kontynuując wciąż masaż serca.

– Daj jeszcze pół miligrama adrenaliny i załaduj czterysta.

– Philipie, przestań, to nie ma sensu, ona nie żyje. Co ty wyprawiasz?!

– Zamknij się i rób, co ci każe!

Policjant spojrzał pytająco na klęczącego przy Lauren lekarza, ale Philip nawet tego nie zauważył. Frank wzruszył

ramionami, podał kolejną dawkę adrenaliny i załadował defibrylator. Kiedy podał poziom czterysta dżuli, Stern nie kazał nawet odsunąć się i zbliżył elektrody do ciała. Pod wpływem silnego wstrząsu klatka piersiowa Lauren gwałtownie oderwała się od ziemi, ale EKG pozostało niezmienione. Lekarz nawet nie spojrział na ekran – wiedział, jaki będzie efekt, zanim podjął tę ostatnią próbę. Uderzył pięścią w pierś Lauren.

– Cholera jasna!

Frank ujął go za ramiona i potrząsnął.

– Przestań, tracisz głowę, uspokój się! Musisz stwierdzić zgon. Czas wracać do bazy. Nerwy ci wysiadły, najwyższa pora, żebyś odpoczął.

Zlany potem Philip błędnym wzrokiem patrzył gdzieś w dal. Frank podniósł głos i ujął twarz kolegi w obie dłonie, zmuszając, by na niego spojrział.

Krzyknął ostro, każąc mu się uspokoić, a wobec braku jakiegokolwiek reakcji, spoliczkował. Uderzenie otrzeźwiło Philipa, teraz słuchał przemawiającego doń łagodnie kolegi:

– Wracajmy, musisz się z tego otrząsnąć.

W końcu, wyczerpany, wstał i odszedł. Policjanci już od dłuższej chwili stali jak wryci, obserwując dziwne zachowanie obu lekarzy. Frank szedł, odwracając się raz po raz, kompletnie bezradny, Philip, który klęczał z pochyloną głową, spojrział w górę i szepnął:

– Zgon nastąpił o godzinie siódmej dziesiątej. – A zwracając się do policjanta, który nie śmiał głębiej odetchnąć i wciąż trzymał butlę z płynem do perfuzji, powiedział: – Zabierzcie ją, to koniec, nic więcej nie da się zrobić.

Wstał, ujął kolegę pod ramię i pociągnął za sobą do karetki.

Policjanci odprowadzili wzrokiem wsiadających do wozu lekarzy.

– Jakies dziwne konowały! – mruknął jeden z nich. Drugi spojrział na niego karcąco.

– Zdarzyło się, żeby na twoich oczach zginął gliniarz?

– Nie.

– Dlatego nie potrafisz zrozumieć, co czuli. Pomóż mi. Ułóżmy ją delikatnie na noszach i przeniesiemy do wozu.

Ambulans zniknął już za rogiem ulicy. Policjanci unieśli nieruchome ciało Lauren, złożyli je na noszach i okryli kocem. Nieliczni gapie rozchodzili się – widowisko dobiegło końca. Siedzący w karetce lekarze milczeli. Pierwszy odezwał się Frank.

– Co się z tobą dzieje?

– Nie ma nawet trzydziestki, jest lekarką i tak piękną kobietą, że patrząc na nią, można umrzeć z zachwyty.

– Tymczasem to ona umarła! Co z tego, że była lekarką i piękną kobietą? Równie dobrze mogłaby być brzydką kasjerką z supermarketu. Widać to było jej pisane. Nic na to nie poradzisz. Wybiła jej godzina. Zaraz będziesz w domu, prześpij się i spróbuj o wszystkim zapomnieć.

Dwie przecznice wcześniej wóz policyjny mijał skrzyżowanie, na które wjechała tuż po zmianie świateł taksówka. Rozwścieczony policjant gwałtownie zahamował i wcisnął klakson. Kierowca „Limo Service” zatrzymał się i potulnie przeprosił za nieuwagę. Ciało Lauren spadło z noszy. Funkcjonariusze wyszli z kabiny. Młodszy ujął ją za nogi, starszy za ramiona. Jego twarz zamarła, gdy ujrzał unoszącą się klatkę piersiową zmarłej...

– Ona oddycha!

– Co takiego?!

– Mówię ci, że ona oddycha, wskakuj do wozu i wal prosto do szpitala.

– Widzisz! A nie mówiłem, że nie dowierzam tym konowalom!

– Zamknij się i jedź. Nic z tego nie rozumiem, ale ci dwaj mnie popamiętają.

Radiowóz przemknął przed oczyma osłupiałych lekarzy, wyprzedzając karetkę. To byli „ich” gliniarze! Philip chciał

już włączyć syrenę i gnać za nimi, ale Frank zaoponował – czuł się zmęczony i zobojętniały.

– Dokąd tak pędzą?

– Nie mam pojęcia – odparł Frank. – A zresztą, może to nie oni. Wszyscy policjanci są do siebie podobni.

Po dziesięciu minutach zaparkowali obok radiowozu, którego drzwi pozostawiono otwarte. Philip przyspieszył kroku, zbliżając się do rejestracji. Bez słowa powitania zwrócił się do dyżurnej pielęgniarki:

– Do której sali ją przewieźli?

– Kogo, doktorze? – zapytała.

– Tę młodą kobietę, którą przywieźli policjanci.

– Jest na bloku 3, Fernstein się nią zajął. Podobno pracuje w jego zespole.

Starszy z dwóch policjantów stanął za nim i położył mu rękę na ramieniu.

– Czego was uczą na tej medycynie?

– Przepraszam, ale...

Słowo przepraszam było w tej sytuacji jak najbardziej na miejscu, ale nie wystarczało. Jak mógł stwierdzić zgon dziewczyny, która oddychała w radiowozie?

– Zdaje pan sobie sprawę, że gdyby nie ja, żywcem wsadziliby ją do lodówki?

Zapowiedział lekarzowi, że nie puści tego płazem. Właśnie wtedy z bloku wyszedł doktor Fernstein i jakby nie widząc policjanta, zwrócił się wprost do młodego lekarza:

– Doktorze Stern, jaką łączną dawkę adrenaliny zaaplikował pan rannej?

– Cztery razy po jednym miligramie – odparł Stern.

Fernstein nie oszczędził mu ostrej reprimendy, podkreślając, że takie postępowanie świadczy o kierowaniu się emocjami, następnie poinformował oficera, że Lauren z całą pewnością nie żyła od dłuższego czasu, gdy doktor Stern stwierdził jej zgon.

Dodał jeszcze, że zespół prawdopodobnie popełnił błąd, zbyt uporczywie starając się przywrócić akcję serca pacjentki i bez potrzeby trwoniąc pieniądze ubezpieczonych. Aby ostatecznie zamknąć tę sprawę, wyjaśnił, że podany dożylnie płyn zgromadził się wokół osierdzia. Przy gwałtownym hamowaniu przedostał się do serca, które, przejawiając czysto chemiczną reakcję, podjęło pracę. Ale nic nie odwróci śmierci mózgowej ofiary. Praca serca ustanie, gdy lek straci aktywność. Może nawet już to nastąpiło. Dorzucił, że będąc na miejscu policjanta, przeprosiłby doktora Sterna za nazbyt nerwową i nieestosowną reakcję, a lekarzowi polecił, by przed wyjściem zajrzał do jego gabinetu. Policjant spojrzał na Philipa i burknął:

– Widzę, że policja nie ma monopolu na solidarność. Nie życzę panu miłego dnia.

Odwrócił się i wyszedł ze szpitala. Choć dźwięki z zewnątrz docierały tu mocno stłumione, słychać było, jak trzasnęła drzwiami radiowozu.

Stern stał wciąż w miejscu i wsparłszy ręce o blat, spod przymkniętych powiek patrzył pytająco na pielęgniarkę. Co tu się właściwie dzieje? Wzruszyła ramionami i przypomniała, że czeka na niego Fernstein.

Zapukał i chociaż drzwi gabinetu były uchylone, poczekał, aż szef Lauren zaprosi go do środka. Fernstein wyglądał przez okno, zwrócony tyłem do gościa. Najwyraźniej chciał, by młodszy kolega rozpoczął tę rozmowę. Tak też się stało. Philip przyznał, że niewiele zrozumiał z wyjaśnień udzielonych policjantowi. Fernstein nie pozwolił mu dokończyć.

– Proszę posłuchać, kolego. Powiedziałem temu policjantowi w najprostszy sposób to, co mogło do niego trafić i odwieść od zamiaru złożenia raportu, który mógłby przekreślić pana karierę. Pańskie postępowanie jest karygodne u tak doświadczonego lekarza. Trzeba umieć pogodzić się ze śmiercią, kiedy nie można jej zapobiec. Nie jesteśmy

bogami, nie decydujemy o ludzkich losach. Dziewczyna zmarła tuż po pańskim przybyciu i ten upór mógł pana drogo kosztować.

– Jak w takim razie wyjaśni pan fakt, że znów zaczęła oddychać?

– Moja praca nie polega na wyjaśnianiu każdego zjawiska. Tak wielu rzeczy jeszcze nie wiemy. Ona umarła, doktorze Stern. Może się to panu nie podobać, ale Lauren odeszła. Nie obchodzi mnie, że jej płuca się poruszają, że serce jeszcze jakoś się miota – elektroencefalogram nie pozostawia najmniejszych złudzeń. Śmierć mózgowa Lauren jest nieodwracalna. Zaczekamy, aż ustanie praca innych narządów, odeślemy zwłoki do kostnicy i kropka.

– Nie może pan tego zrobić! Nie może pan zlekceważyć tak oczywistych oznak!

Fernstein nie krył zniecierpliwienia – pokręcił głową i podniesionym głosem zgromił młodego lekarza. Nie pozwoli się pouczać. Czy Stern zdaje sobie sprawę, jaki jest koszt dnia hospitalizacji na oddziale intensywnej opieki? A może sądzi, że szpital zablokuje łóżko, żeby utrzymywać przy życiu taką „roślinę”? Uświadomił mu więc, że najwyższy czas dorosnąć. Nie zamierzał skazywać rodzin takich pacjentów na tkwienie całymi tygodniami przy łóżku istoty, która nie porusza się ani nie myśli, ale pozornie żyje – dzięki maszynom. Nie weźmie na siebie odpowiedzialności za tego rodzaju decyzję tylko po to, żeby zadowolić lekarskie sumienie.

Polecił Sternowi wziąć prysznic, co powinno go trochę otrzeć. Poradził też, żeby zszedł mu z oczu. Ale młody lekarz wciąż stał naprzeciw profesora i przytaczał kolejne argumenty. Stwierdził zgon pacjentki po dziesięciu minutach od zatrzymania akcji serca i oddychania. Serce i płuca Lauren przestały funkcjonować. Tak, nie ustępował, bo po raz pierwszy w praktyce lekarskiej zdarzyło mu się poczuć, że ta kobieta nie chce umrzeć. Opowiadał, jak w otwartych

wciąż oczach dostrzegł coś, co świadczyło o skrytej, twardej walce, o zdecydowanym sprzeciwie.

Dlatego walczył wraz z nią, naruszając powszechnie przyjęte normy, a dziesięć minut potem, wbrew wszelkiej logice, wbrew temu, czego go uczono, jej serce znów zaczęło bić, płuca wdychały i wydychały powietrze – życie wróciło.

– Ma pan rację – ciągnął – jesteśmy lekarzami i wielu rzeczy nie wiemy. Ta kobieta również jest lekarzem.

Błagał Fernsteina, żeby dał jej szansę. Przecież zdarzało się, że ludzie wychodzili ze śpiączki, która trwała ponad pół roku, a medycyna nie potrafiła wyjaśnić mechanizmu wyzdrowienia. Nikt jeszcze nie dokonał tego, co udało się Lauren, więc mniejsza o pieniądze.

– Proszę nie skazywać jej na śmierć, ona nie chce umierać i usiłuje nam to powiedzieć.

Po chwili milczenia profesor odparł:

– Doktorze Stern, Lauren była jedną z moich uczennic. Miała paskudny charakter, ale i prawdziwy talent. Ceniłem ją za to i wiązałem z nią wielkie nadzieje. Wiążę je również z panem. Uważam naszą rozmowę za zakończoną.

Stern wyszedł z gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi. W korytarzu czekał na niego Frank.

– Co ty tu robisz?

– Kompletnie oszalałeś?! Wiesz, kim jest facet, z którym odważyłeś się kłócić?

– Kim?

– Profesorem, zwierzchnikiem tej dziewczyny. Zna ją, widuje od ponad roku, a ocalił więcej ludzi, niż ty zdołasz ocalić do samej emerytury. Musisz nad sobą panować, czasami naprawdę ci odbija.

– Daj mi spokój, Frank, wysłuchałem już dziennej porcji morałów.